



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLUCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY.

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebena i Spół., kwartal. 5 marek

Z KRAINY ZŁUDZEŃ.

Widzę, żeś piękna!... Wszak pierś twoją białą
Cudownym blaskiem zdobiją pereł sznury...
Błękit swój niebo oczom twoim dało,
A najpiękniejsze zjawiska natury,
Wszystkie rozkosze, wszystkie czary wiosny
Zbiegły się w tobie w harmonii radosnej.

Widzę, żeś szczęśna!.. Na strój ten bogaty,
Na te kamienie z blaskami cudnymi,
Przyroda dała najdroższe swe szaty—
I wszystkie skarby, wszystkie twory ziemi...
Pot pracy ludzkiej, łzy, płynące marnie,
I dreszcze zimna, i głodu męczarnie...

Leż: mam widzenie, w którym duch mój marzy,
Ze skarby swoje rozbiłaś na krocie:
Roztliłaś w płomień, co grzeje nędzarzy,
Te blaski w twoich djamentach i złocie...
Widzę, jak cudem twa ręka ofiarna
Zmienia bogactwa na chleb i na ziarna.

Widzę, jak szczerze swem szczęściem bez miary
Obdarzasz smutne córy tego świata;
Jak blaskiem oczu rozpraszasz mrok szary,
Który z posepnem sieroctwem się brata;
Jak ducha swego skarbami wielkimi
Chcesz dzielić wszystkich prostaczków tej ziemi.

Antoni Pilecki.

GARBUSKA.

POWIĘŚĆ

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

I.

Późno już było — blisko dwunasta, a w oknach mieszkania krawca Łatkiewicza, od tyłu w podwórzu, świeciło się jeszcze i na białych perkalowych frankach widać było cienie ruszających się głów i rąk. — W mniejszej izbie sam pan majster szły na gwałt wraz z czeladnikiem na jutrzejsze święto Bożego Ciała garnitur letni dla jakiegoś akademika; w drugiej zaś izbie, która była zarazem kuchnią, służąca prasowała do sztywności wykrochmalony półkoszulek i stojące „fatermedery“ dla pana i białe spódniczki dla paniątek, którym matka zakręcała włosy w pa-

piloty, że aż ryczały z bólu, a ciotka, panna jeszcze, którą trzymano z łaski w domu, kończyła szycie białych sukienek, w których miały wystąpić jutro na procesyi.

Dziewczątka wyglądały jak bliźnięta, choć jedna od drugiej była o rok starsza — a miały takie śliczne twarzyczki, że kiedy szły do szkoły z torbeczkami wyładowanymi tabliczką, kajetami i książkami, to ludzie oglądali się za nimi i mówili: a czyż to takie śliczne dzieciaki? — Znane były już z tej piękności. — Pani sędzina, która mieszkała w tejsamej kamienicy od frontu, nieraz posyłała po nie, aby je sprezentować gościom jako rzadkie okazy, a w klasztorze, gdzie chodziły do szkoły, na imieniny Panny Matki w żywych obrazach występowały jak aniołki, z przyprawionymi gęsiami skrzydłami, w loczkach, wieńcach na głowie i z palmowymi gałązkami w ręku. Wyglądały wtedy tak uroczo, z temi klasycznie wyrzeźbionymi nóżkami, różowymi usteczkami, czarnymi oczkami, że po skończeniu przedstawieniu goście podawali je sobie z rąk do rąk, oglądali jakby cudo jakie, całowali i pieścili. Nawet ksiądz biskup nie mógł się wstrzymać od złożenia ojcowskiego pocałunku na rumianych twarzyczkach tych cherubinków i wyraził przytem zdziwienie swoje, że w tak niskiej klasie mogły się urodzić dzieci tak skończenie piękne, podczas kiedy w hrabskich domach zdarzało mu się nieraz widzieć nabrękle, skrofuliczne i niezgrabne potworki. — Nazwał to szczególniejszą łaską bożą, za którą rodzice powinni niewiedzieć jak Panu Bogu dziękować.

Oczywiście, było to niezwyčajne i nie wytłomaczone zjawisko, bo matka nie grzeszyła wcale pięknnością, a ojciec, ze spleśzczonym nosem, wystającymi kośćmi policzkowymi i cebulastymi oczami był poprostu potwornie brzydkim. Mówiono, że się w babkę wrodziły, to jest w matkę, która pochodziła podobno z żydów i znaną była między uboższą klasą jako pożyczająca na

fanty, pod nazwą „przechrzcianki“. Sprawdzić podobieństwa nie można było, bo babka już dawno nie żyła i nawet fotografii żadnej po niej nie zostało. Zresztą rodzicom nie chodziło wcale o to, czy wnuczki były podobne do babki, czy do kogo innego: im wystarczyło, że się dziewczyny udały, że ludzie im zazdroszczą takich dzieci, i byli dumni z ich piękności. Bo piękność dla dziewczyny, jak utrzymywał Łatkiewicz, to tyle, co majątek, i cytował zaraz różne biedne panny, które li dla piękności popochodziły dabrze za mąż i dziś są paniami „całą gębą“. Potakiwała mu w tem stara Francuzka z drugiego piętra, która dawała lekcye na fortepianie i trudniła się oprócz tego hodowlą pokojowych piesków na sprzedaż. Dla niej piękne dzieci były taksamo przedmiotem spekulacji, jak jej pieski, tylko, że szlachetniejszym i korzystniejszym, dlatego często narzucała się Łatkiewiczom ze swojemi radami co do chowania dzieci i rozwijania ich piękności. — Radziła, co mają im dawać jeść, co pić, w jakiej wodzie myć, jak spać, na czem, jak długo, czem wzmacniać porost włosów, wydelikacąć cerę, i t. d. Możliwy było użyć cały podręcznik higieniczny z tej gadaniny starej Francuzki, która to robiła, nie tyle może z zyczliwości dla Łatkiewiczów, ile z zamiłowania hodowli ładnych okazów, czy-to psów, czy ludzi — bo dla niej było wszystko jedno. Zajmowało ją niesłychanie obserwowanie różnic i podobieństwa w obu tych gatunkach stworzeń — i wysnuwała ztąd różne filozoficzne wnioski i spostrzeżenia, które przeważnie wychodziły na korzyść psiego rodu. Dla niej pies był ideałem doskonałości charakteru, prawości, wierności, przywiązania, wdzięczności i innych tym podobnych cnót a wady, jeżeli miał jakie, przypisywała zbyt blizkiemu obcowaniu z człowiekiem. Każdy człowiek miał u niej o tyle wartość, o ile był podobnym do psa, tak pod względem przymiotów, jak i zewnętrznego wyglądu. Panny Łatkiewiczówny dlatego jej tak się spodobały, że przypominały bardzo z powierzchowności, jak mówiła, jej Pinie, suczkę bonońską, którą po tragicznym wypadku (zdechła z przejedzenia i zbytnej otyłości) kazała wypchać i trzymała u siebie pod szklm na aksamitnej poduszce.

Dzięki temu podobieństwu do Pini, nie z otyłości, rozumie się, tylko z oczów i mordeczki, Francuzka zajęła się gorliwie małemi Łatkiewiczównami i hodowała ich piękność z równą starannością jak swoje pieski. Z tego powodu brat ich, o parę lat młodszy, drwiąc muckał nieraz na nie, jak na pieski, — i przepowiadał, że im Francuzka na zimę porobi kołderki, jak swoim charcikom, i na sznureczku poprowadzi na spacer. Ją samą wyśmiewał nieraz nazywając psią guwernantką. Z tego powodu nie lubiła go i nazywała pogardliwie: „glupa klopaka“.

— Ona musze bić nie topra szlopfika, jak male Żolke tak safsze na niemu szekala, — mówiła nieraz do rodziców, radząc im chłopaka ostro trzymać, jeżeli nie chcą, żeby im wyrósł na *mauvais sujet*. — *Mais* za to panienska *sont très agréables* i one bedom miała posiecha od nich.

Tylko radziła, żeby im wódki nie dawano, bo jakkolwiek wódka jest bardzo dobra dla pokojowych piesków, żeby nie rosły, to dla panien znowu dobry wzrost znaczy bardzo wiele; — natomiast radziła je pić piwem dla nabrania ciała, gdyż były bardzo wątłe z natury.

Dziewczątka były nieszczęśliwe z powodu tej wygórowanej troskliwości rodziców i przesadnej uwagi na nich. Niech tylko która z nich przebudziła się rano trochę bledszą, niż zwykle, albo zakaszła, choćby od zachłyśnięcia się śliną, wnet pakowano ją do łóżka i aplikowano różne domowe środki. Sypiać musiały na cienkich materacykach, prawie na gołych deskach, żeby były proste, jak topolki — myć się wystąpiła przez noc wodą, bo taka cery nie psuje, jak mówiła Francuzka, i nie zaostrza. Co chwilę matka upominała to jedną, to drugą: jak chodzisz? jak stoisz? nie garb się — nie marszcz czoła, nie gryź warg, nie pociągaj nosem. Słowem, była to najostrożniejsza dresura, skierowana do rozwijania zewnętrznych powabów dziewczątek, z których starsza liczyła zaledwie ośm lat a młodsza siedm.

Biedne dziewczątka były umęczone i na każdym kroku krępowane temi ciągłymi przestrogi.

Ot i teraz oczęta im się kleją i zamykają co chwilę ze znużenia, bo czas wielki już iść spać, a musza siedzieć, bo matka jeszcze nie pozakrecała im papilotów, a potem mają jeszcze przymierzać sukienki. Choćby przyszło do rana siedzieć i szyć, to musza być gotowe, bo jakżeby inaczej jutro pokazały się na processyi, gdzie takie tłumy ludzi będą je widzieć i podziwiać? Matki ambicya w tem, żeby jej córki jutro najlepiej się wydały, żeby były ubrane lepiej, niż inne, i zwróciły uwagę wszystkich. Kościelny od Panny Maryi przyszedł osobiście prosić o nie i obiecał, że starsza będzie niosła koronę Matki Boskiej.

Taki zaszczyt nie każdej przypadnie w udziale. Matka za nic w świecie nie rzekłaby się tego. Już po całej kamienicy rozgadała; nawet w sklepie, gdzie brała zwykle cukier i kawę, wiedzieli już, że Anielcia będzie jutro niosła koronę Matki Boskiej, że będzie miała nową muślinową sukienkę, niebieską szartę i trzy łokcie welonu. Pani sędzina zapowiedziała, żeby ją przedtem przyprowadzili na górę, że musi jej się zblizka przypatrzeć. Jakże tu zrobić zawód całemu światu? Więc choć ciotce mdleją już ręce z umęczenia i cała spocona, mokra, jak w wodzie, bo wieczór parny, ciepły a w piecu pali się do prasowania, — to jednak Łatkiewiczowa nie da jej spocząć, zachęca do pośpiechu, bo powiada: „żeby tam piórny z nieba“, to sukienki dziś gotowe być musza.

Bo i rzeczywiście, nim zegar maryacki wybił dwunastą, już obie sukienki były gotowe — tylko jeszcze przymierzyć i kokardy przyszyć.

Zaczęto od młodszej, Józki. Robota leżała na niej, jak ulał. Gorzej poszło ze starszą. Stanik się jakoś krzywił na niej i niezgrabnie wyglądał. Napróżno ciotka ujmowała, ścieśniała, to znowu rozszerzała, poprawiała: nie nie pomagalo — stanik wciąż źle leżał. Obie kobiety w głowę zachodziły, co to być może. Przypuszczając, że to może ich uprzedzenie tylko, wezwały służącą do osądzenia; ale i służa oświadczyła, że panna Anielcia w tej sukni wygląda jak pokrzywiona.

— Trzymajże się prosto! — zawołała na nią matka i dla sprostowania bęła ją w plecy pięścią, że aż zadudniało; ale i to na nic się nie zdało: stanik wciąż źle leżał.

— Chodź-no, stary, zobacz, co tam brakuje — zawołała Łatkiewiczowa na męża — Panie Wincenty! — odnosiło się to do czeladnika.

Wezwani rzeczoznawcy wyszli z powagą sędziów z drugiej stancyi.

Łatkiewicz, któremu siostra zony była solą w oku, że im siedziała na karku i wszystko złe jej przypisywał, obejrzawszy szczegółowo sukienkę przez okulary, zawyrokował, że źle była przykrojona, że ciotka sfuszerowała robotę i materal popsuła.

Czeladnik jednak innego był zdania.

— To nie sukienka krzywo leży — rzekł — tylko Anielcia krzywa.

— Co znowu? — Idźże pan do stu dyabłów z takim głupim gadaniem! Widzicie go! Dziewczyna jak świeca — o! — mówiła Łatkiewiczowa i dla przekonania czeladnika, przejechała płaską dłonią po plecach córki; ale nagle zatrzymała ją w jednym miejscu i zapytała:

— Cóż ty tu masz? Boli cię to?

— Nie boli — odrzekła pokornie córka.

— I dawno to masz?

— Czy ja wiem?

— Co to może być? — pytała sama siebie zaniepokojona. Stary, chodź-no zobacz, co to może być? o! tutaj — pomacaj, — no?

— Kość łopatkowa, — rzekł macając palcami, a patrząc w sufit.

— No, to ja wiem dobrze, że kość łopatkowa, nie co innego; ale dla czegoż taka wysadzona? Druga przecież nie taka.

— Trzebaby to dokumentniej zobaczyć. Rozbierz-no się Anielciu.

Dziewczynka, oniesmielona obecnością czeladnika, zawahała się i spojrziała litośnie, pytając na matkę.

— No, zdejmże sukienkę, skoro ojciec mówi. Nie słyszysz? — Anielcia usunęła się w kąt i tam, rumieniąc się, poczęła ściągać powoli sukienkę z chudych ramionek.

— Chodźże tutaj — no, prędzej — kommanderowała matka — tu do światła, niech ojciec zobaczy.

W głosie jej malował się przestach, twarz oblała ognie. Ojciec tymczasem, przykucnąwszy nieco i pochyliwszy głowę, przypatrywał się uważnie to jednej łopacie, to drugiej; ale nic nie mówił. Bał się przed sobą samym powiedzieć głośno, co widział, czego się domyślał. Czeladnik go wyręczył i rąbnął od razu, jak siekierą:

— Co tu długo oglądać, kiedy to także widocznie, że ślepy-by namacał, że dziewczyna krzywa, — o! łopotka wysadzona tyle i kość pacierzowa się krzywi w tę stronę. To garb!

— Zwaryowałeś pan! — ofuknęła matka, ocierając równocześnie fartuchem pot, który jej kroplami wystąpił na twarz i czoło. — Zkąd? z jakiej racyi? — Czy to ja garbata, albo mój!

— To niema nic do tego — utrzymywał uporczywie czeladnik — mogła spaść kiedy, potłuc się — z tego najprędzej.

Ciotka zaraz przypomniała sobie, że wistocie raz, przed paru laty, gdy wróciła z miasta, zastała Anielcię leżącą na ziemi i zanoszącą się, siną prawie, od płaczu wrzaskliwego, — spadła wtedy ze stołu, bo nikogo nie było przy niej w stancyi. Rodzice jednak nie mogli sobie tego przypomnieć, czy też nie chcieli. Odpędzali od siebie tę myśl, żeby to mogło być prawdą, co czeladnik powiedział. Przerazało ich bowiem i śmiertelną trwogą przejmowało, że córka ich mogłaby być kaleką. Ruinowało to ich nadzieję, i dlatego nie chcieli uwierzyć nieszczęściu, które im groziło.

— A toby była ładna historia! — mówił Łatkiewicz zmienionym głosem, chodząc niespokojnie po izbie — Kaleka: a niechże ręka boska bronii! Wolałbym.....

— Fe, stary, nie obrażaj Pana Boga.

— No, cóż nam po garbusku? Ciężar tylko, wstyd i kłopot. Rany boskie! a dyćbym ja się na śmierć zatrapiał.

— No, no stary, nie desperuj, bo jeszcze niema czego. Pan Wincenty nie Papież, żeby co powie, było święte; zresztą choćby, tak było, to jeszcze nie straconego: młode kości dadzą się przecie wyprostować. Pamiętasz ty tego psa u Francuzki? Chodził jak pokraka, był cały pokrzywiony w kilkoro, a jak go zaczęła smarować, obwiązywać, prostować, tak i wyprostowała. Trzeba jej się poradzić: może i tu sposób znajdzie.

Słowa te uspokoiły trochę Łatkiewicza. Uradzono, że jutro zaraz rano pośle się po Francuzkę; — że swoją drogą obie dziewczęta musza iść na processyę, żeby zawodu nie robić; ale koronę nieść będzie Józka — a Anielcia pójdzie z feretronem, — bo przytem nie tak znać będzie jej ulomność.

Dziewczyna przysłuchiwała się w milczeniu tym naradom, patrząc, to na ojca, to na matkę. Nie rozumiała całej doniosłości nieszczęścia, które ją spotkało; ale ze spojrzeń, jakie na nią rzucono i z tego, co mówili ze sobą, domyślała się, że się stało coś bardzo złego, i z trwogą oczekiwała, co z nią zrobią, — bo z naiwności swojej sądziła, że to ona była temu winna i że nie minie jej za to zasłużona kara.

II.

Wbrew oczekiwaniu kary nie otrzymała żadnej, prócz tej, że ojciec i matka patrzali na nią z wyrzutem a siostra z obawą odsuwała się od niej, jakby się bała zarazić jej ulomnością — (co było dla niej także pewnego rodzaju karą, bo ją to bolało, choć nie na ciele, ale gdzieś głębiej, w niej samej); — prócz tego nie miała żadnej innej kary; ale znosić musiała zato stokroć gorsze męki. Francuzka bowiem wezwana do porady oświadczyła, że na takie skrzywienia grzbietu niema innego środka tylko żelazna sznurówka, a że rodzice nie wiedzieli, gdzie takiej dostać można, więc poszła sama z Anielcią do fabrykanta bandaży i narzędzi chirurgicznych; obrała dla niej odpowiedni pancerz, w który skrępowane

wątle dziewczątko męczyło się, nietylko w dzień, ale i w nocy, bo kazano jej spać w tem. Były to prawdziwe tortury, przeciw którym dziewczyna bronila się z początku płaczem, prośbami, skargą, a gdy widziała, że to na nic się nie zdało, że rodzice nieublagani pofolgować nie chcieli, tłómacząc się, że to robi się dla jej dobra, w milczeniu znosiła swoje cierpienia, które bolesnym wyrazem odbiły się na jej bladej twarzy i zmieniali ją powoli. Po dwóch miesiącach uwydlatniła się już różnica wielka między siostrami, bo podczas gdy Józia twarzyczka wyglądała jak różyczka rozkwitająca a czarne oczka uśmiechały się wesoło i były pełne życia, Anielcia pobladała, rysy jej wydłużyły się skrzywiły a oczy sponępniały i jakby przygasły. Już teraz nikt nie powie działaby, że to bliźnięta: Anielcia wyglądała o parę lat starsza od siostry i mizerna, jakby z ciężkiej powstała choroby.

I stosunek wzajemny siostr zmieniał się bardzo. Rodzice, widząc, że usiłowania ich są daremne, że Anielcia mimo żelaznej sznurówki krzywi się i garbaciej coraz więcej, z każdym dniem obojętnie dla niej i powoli coraz mniej się nią zajmowali, przenosząc całą swoją troskliwość na młodszą. Już tylko ją stroili, z nią wychodzili na spacer, zaniebując starszą, wstydząc się pokazywać z nią między ludźmi. Drogi dziewczątka coraz bardziej rozchodziły się wskutek tego i jedna dla drugiej stawała się coraz więcej obcą, — ułomność garbuski rozdzielała ją, niby jakaś nieprzebyta góra, od siostry, rodziców i koleżanek nawet, bo i te skoro się dowiedziały, że Anielcia będzie garbatą, zaczęły patrzeć na nią teraz innemi oczami, z pewną tajemną trwogą i politowaniem, a choć niektóre, mające lepsze serca, okazywały jej życzliwość, może nawet większą niż dawniej, to właśnie ta zwiększona życzliwość i pobłażliwość była dowodem, że traktują ją, jako coś niższego nieudolniejszego, słabszego od siebie. Garbuska między rówieśnikami czuła się nierówną, upośledzoną.

Trudno jej było z początku oswoić się z tem swoim nieszczęściem, uwierzyć w to, że będzie inną, niż wszystkie jej koleżanki, że kiedy tamte wzrastać i rozwijać się będą, jej z biegiem lat tylko garb coraz większy rozrastać się będzie, jak to widziała u jednej starej służącej. Spotykała ją dawniej często na ulicy, chodzącą z gazetami, i patrzyła na nią tak, jak na wiele innych osób na ulicy, bezmyślnie, obojętnie; teraz zaś widok tej służącej przestraszał ją: unikała jej a przy spotkaniu odwracała się, by nie widzieć, jak będzie wyglądała sama za lat kilkanaście. Kiedy chłopcy wracający ze szkoły zaczęli wołać za nią: garbuska, — uciekała, aby nie słyszeć tego, aż jej dech w piersiach zapierało; rumieniec wstydu palił twarz, a wróciwszy do domu, biegła coby prędzej na strych, aby się tam na osobności wypłakać mogła do syta. Biedactwo, szlochając, zapotywało Pana Boga: coby mu to było szkodziło, gdyby jej był dał plecy o parę cali prościej? Instynktowo przeczuwała, że tych parę cali pokrzywi jej życie i inną popchnie drogą. Ludzie przestali ją podziwiać a zaczęli się litować nad nią, a litość ta upokarzała ją i bolała. Czuła żal do Boga i do ludzi za to kalectwo swoje, unikała towarzystwa, nawet siostry, wobec której stała się teraz niesmiałą, nieszczerą i jakby obcą. Gdy szły razem do szkoły, wyglądała przy niej, nie jak siostra, ale jakby służąca odprowadzająca pannę na pensję, a różnicę stanowił nietylko strój, ale całe zachowanie się ich względem siebie: Józia była pewna siebie, śmiała i rezolutna, podczas, gdy Anielcia szła obok niej milcząca, smutna i nieco w tyle.

Jedyną pociechą i rozrywką Garbuski była nauka, — przy nauce zapominała o swoim kalectwie: to też z przesadną gorliwością rwała się do książek. O ile dawniej była trochę próżniaczkiem, równie jak jej siostra, o tyle teraz stała się pilną i zapaloną nawet do pracy. Był to dla niej jedyny sposób odznaczenia się, prześcignięcia tych, które ją uważały za coś gorszego od siebie. To też kiedy siostra jej chodziła z rodzicami po imieninach, zabawach, do teatru, ona, siedząc przez ten czas w domu ślęczała po nocach nad

książkami, uczyła się zapamiętała i była prawie jedną z pierwszych uczennic w klasie.

Nie przejechało to jednak wcale rodziców dla niej. Było to dla nich obojętne: czy ona się będzie dobrze uczyć, czy nie, bo nie widzieli w tem ani honoru, ani żadnej korzyści dla siebie, ani dla niej.

— I co z tego — mówili — że się dobrze uczy? — Co jej z tego przyjdzie? — zostanie nauczycielką i będzie całe życie biedę klepać.

Ich ambicje sięgały wyżej: życie bez pracy, przyjemności bez obowiązków — to był szczyt ich marzeń, i takiego życia się spodziewali przez piękność swojej młodszej córki, na którą teraz wyłącznie przenieśli nadzieje swoje i pieczołowitość, zaniebując starszą, którą się prawie całkiem nie zajmowali. Ojciec z początku patrząc na jej kalectwo pisał „na desperę“, że po kilka dni i nocy czasem nie pokazywał się w domu, ale potem oswoił się z tem swoim nieszczęściem i je zeli pił, to już na inną intencją. Anielcia już go tyle teraz obchodziła, co *piąte kolo u wozu*. Przypominał sobie o niej, gdy potrzebował jakiej usługi, posłał ją po co, przyszyć co, albo wyrzucić na kim swój zły humor.

Za to ciotka wzięła garbuskę w swoją szczególniejszą opiekę. Ona także była potępiona i lekceważona w domu: więc ta wspólność doli zbliżyła te dwie istoty do siebie. Siadywały razem na jednym uprzywilejowanym miejscu: przy stolczku pod oknem, jedna szyjąc, druga ucząc się — czasem bardzo późno w nocy.

Gdy Anielcia pokończyła swoje lekcje, pomagała ciotce szyć o ile umiała, a czego nie umiała, tego się uczyła i z czasem stała się nie małą pomocą ciotce w białem szyciu i krawiecczyźnie.

Francuzka także przywiązała się do tej upośledzonej istoty, a przywiązała się głównie dla tego, że Anielcia lubiła nieraz na ganku bawić się z jej pieskami, rozmawiać z nimi w braku kogo innego do rozmowy — głąskała je i pieściła.

Francuzkę to chwyciło za serce — według przysłowia: dziecko za rękę, matkę za serce — a że pieski kochała jak własne dzieci, więc pokochała garbuskę za to, że ta głąskała jej pieski.

— Ona ma serce — dobra serce, co ona lubi psi rodu, — utrzymywała i często z tego powodu zabierała Anielcie do siebie, aby z nią porozmawiać o swoich ulubieńcach, wypowiadać obawy swoje o zdrowie Żolki lub Mimi, albo jej opowiadać o dowcipie i figlach kudłatego Azorka, — Anielcia słuchała cierpliwie wywnętrzeń starej Francuzicy, przesiadywała tam po parę godzin dziennie, pomagając jej w czesaniu pieśków, karmieniu mlekiem młodych szczeniąt i uczeniu sztuczek dorastających pudlików. Była niejako ochmistrzynią tej menażeryi. — Czasem przysiadła się do fortepianu, brzękała na niem, a Francuzka uczyła ją jak stawiać palce, czytać nuty — i po kilku miesiącach — tak na zabawkę, niby od niechcenia — Anielcia sama nie wiedząc jak do tego przyszła, zaczęła wcale nie źle grać. Zadziwiło to i zachęciło Francuzkę, a upatrując talent w dziewczynie, zaczęła ją kształcić w muzyce, rozumie się, darmo, — bo rodzice ani wiedzieć nie chcieli o nauce. Kiedy im raz wspomiała, że Anielcia już wcale nie źle gra, Łatkiewicz machnął tylko pogardliwie ręką i rzekł:

— Co jej z tego przyjdzie? — To jej nie da szczęścia, które utraciła przez swoje kalectwo. Czy tak czy owak, czy ona będzie nauczycielką muzyki, czy czego innego, zawsze będzie musiała pracować ciężko na kawałek chleba. — Pomimo tego, że to byli ludzie pracy, a może właśnie dla tego, uważali pracę wszelką za smutną konieczność, a szczęście wyobrażali sobie tylko w używaniu bez pracy. Takiego szczęścia spodziewali się dla swojej Józii, o której wciąż im się roiło, że jaki bogaty pan, może nawet hrabia, pozna ją, pokocha i ożeni się, a wtedy i dla nich nastaną szczęśliwe czasy.

Tą myślą zajęci tylko, z lekceważeniem patrzali na pracownicę i pilną Anielcie, niekontenci nawet byli, że wysiaduje długo po nocach nad książkami i spać im nie daje, że zamiast posłużyć

w domu, zrobić to i owo, przesiadyuje godzinami u starej Francuzicy i bębni tylko na fortepianie. Ale dla niej, dla Anielci samej, ta praca, to ustawiczne zajęcie stało się źródłem szczęścia. Pokochała pracę, bo ona dawała zapomnienie o kalectwie i czyniła je znośnem. Idąc od roboty do roboty nie miała czasu myśleć o sobie, oswoiła się z czasem tak z nazwą garbuski, że ją już ani raziła, ani bolała, i kiedy dorastający brat — a wiadomo, że w tym czasie to jest między dwunastym, a czternastym rokiem, chłopcy bywają najzłośliwsi, najdokuczliwsi — otóż kiedy brat pozwał sobie różnych żartów i drwinek z jej kalectwa, słuchała tego z pobłażliwym uśmiechem, — czasem tylko pogroziła mu mówiąc: Oj, ty, ty zbereźniku, dobrze tobie śmiać się z kaleki, — żeś sam prosty i zdrowy.

Ten pobłażliwy, dobrotliwy uśmiech był teraz ciągłym jej towarzyszem, odkąd przyszła do równowagi. Krzątając się, jak mrówka, wśród ciągłej roboty — miała twarz zawsze przyjemnie uśmiechnioną — a w czarnych, ruchliwych oczach przebijał się spryt i czynny umysł. — Twarzyczka jej, blada dawniej i chorowita, nim oswoiła się z kalectwem, teraz zakwitła czerstwością i zdrowiem. Nie była to czerstwość młodego wieku, bo wczesna dojrzałość, właściwa garbuskom, wycisnęła swoje piętno na jej twarzy. Rumieniec jej nie przypominał wiosennych kwiatów, wyglądały raczej jak zasuszony nieśmiertelnik — a ludzie, z którymi obcowiała, nazywali ją miłą garbuską; podczas gdy siostrę jej, która z powodu swej piękności zadzierała noska do góry i wysiadowała godzinami przed lustrem, wpatrując się w siebie i strojąc bezustannie, nazywali biedni mieszkańcy w kamienicy „mamzelą“.

W strojach, na które rodzice jej ostatni grosz wydawali, robiła wrażenie jakiejś egzotycznej rośliny, która przypadkiem dostała się do stacyjki biedaka. — Wyglądała na pannę z lepszego domu, podczas gdy biednie, choć czysto, schludnie ubrana garbuska, przedstawiała się przy niej, jak panna służąca. Jeżeli kiedy szły razem, co się rzadko zdarzało, to zawsze Józia z dumnie zadartą do góry główką wyprzedzała siostrę o jakie pół kroku, podczas gdy ta nie mogąc jej nastarczyć, dreptała za nią drobnym kroczeniem zadyszana, dźwigając najczęściej za nią pudełka, paczki i inne sprawunki.

Taki z latami wyrobił się stosunek obojdwóch siostr do siebie. Były niby blisko siebie, bo pod jednym dachem, a jednak obce sobie, dalekie.

Garb je rozdzielił.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Panna, mężatka i wdowa wobec prawa.

ODCZYT PUBLICZNY

Jana Maurycego Kamińskiego Mag. Praw. i Adm.

wypowiedziany 21 Maja r. b.

w sali ratuszowej na dochód Tow. Osad Rolnych.

Mam niewinną intencją. Pragnąłbym aby z dzisiejszej pogadanki wyniknął pewien, choćby najskromniejszy dorobek dydaktyczny. Wytłomaczę się jaśniej.

Jeżeliby wolno było porównawczo rozpatrywać sumę wiedzy rozmieszczoną w sferze inteligentnej, między dwiema płeciami, to musielibyśmy przyznać, że pomijając specjalnych uczonych lub literatów, damy górują wykształceniem estetycznym. Czyto w pałacu rodowego arystokraty, czy w salonie bankiera, w skromniejszej bawialni urzędnika lub przemysłowca, pod dachem wiejskiego dworku, a nawet w officynie, zauważyć

możemy, że kobiety więcej i regularniej czytują, ztąd też niezależnie od poglądów, bardzo często rozporządzają większym zapasem dat t. j. obfitym materiałem wiadomości historycznych, literackich i artystycznych. Co więcej, w ostatnich czasach nawet nauki przyrodnicze nie są obcą dla kobiet dziedziną. Wiele z pań interesuje się niemi i w formie popularnej wciągają w zakres swego czytelnictwa. Inaczej rzecz się ma, nie powiem już z naukami prawnymi, ale nawet z najbardziej użytkowym z nich wyciągiem. Tutaj biorąc przeciętnie istnieje dla pań świat nieznan, prawdziwa *terra incognita*. Nie mówię panie, że niegrzecznie przesadzam. Jestem praktyk i miałem sposobność sprawdzić, że na dziesięć dam będących *au courant* współczesnej belletrystyki, a szukających wypadkiem porady prawnej, zaledwie jedna ma przybliżone pojęcie o materii, która ją sprowadziła, a i tego pojęcia nabrała już w drodze gorzkiego doświadczenia, mszczącego się za nieświadomość zasadniczych norm prawnych.

I zkąd wstąpił taki do ogrodu Temidy? Oto poprostu kwiaty z tego ogrodu uważane są za bezbarwne, a więc nudne, a nauka o nich za zbyt specjalną. Ani jedno, ani drugie. Nie może być nudnym to, co bezpośrednio z życiem związane, nie może być zbyt specjalnym to, co każdą jednostkę obowiązuje. Prawda, że subtelności jursprudencji i polityka prawodawcza wymagają uprzedniego ścisłego przygotowania, ale nieosubtelnościach myślimy w tej chwili, idzie nam o prostą świadomość osobistych praw i obowiązków, dostępną dla każdego i niezbędną dla każdego i każdej.

Szczęśliwym będę, jeżeli na dzisiejszem posiedzeniu zdołam w zamierzonym zakresie przedstawić w sposób, któryby szanownego zebrania nie znudził, właśnie jeden z tych niezbędnych działów prawnego uporządkowania, dział interesujący już sam przez się, a tym więcej ze względu na kategorie osób, którym jest poświęcony. Rzecz naturalna, że prawnicy nie usłyszą tu nic nowego, mam jednak nadzieję, iż nie wezmą mi za złe jeśli naszą codzienną strawę skonsumują tym razem w większem i bardziej przyjemnem towarzystwie.

Tytuł wskazuje o czem mówić mamy. Czy tytuł odpowiedni, osądzicie po wysłuchaniu. Złośliwy przyjaciel zrobił mi uwagę, że tensam tytuł byłby dobry zarówno do krwawego dramatu jak i operetki. Przypuszczam—ale to tylko dowodzi że kobieta we wszystkich stadiach swego rodzinnego położenia oplata całkowicie naszą istotę, że związana ze światem i wiążąca go naturalnymi węzłami, przenika nawskroś życie jednostki i społeczeństwa, w skład którego wchodzi, a co za tem idzie, że w tem społeczeństwie mieć musi i ma swoje prawa, bądź wspólne z mężczyzną, bądź oddzielne przez odmienną naturę rzeczy podyktowane.

Prawa oddzielne, różne — oto jest wejście do kwestyi. Dlaczego różne? Wiemy, szanowne słuchaczki przyznać to raczą, iż wiele z pomiędzy pań, które nie zadawały sobie trudu szczegółowego rozpatrzenia: zkąd biorą początek, a nawet na czem polegają te różnice, z góry, *a priori* potępiają ich istnienie. „Silniejsi styranizowali słabsze, mężczyźni pisali prawa i pokrzywdzili nas“ oto jak się ta kwestya popularnie rozwiązuje. Czy tylko popularnie? Nie, zaiste. Wiadomo, iż są bojownicy i bojowniczkę zupełnego dwóch płci równouprawnienia. Z pełnym arsenałem naukowych argumentów dowodzą oni i one słuszności tego równouprawnienia, nie tylko w sferze ekonomicznej, ale i w sferze stosunków rodzinnych i rodzinno-cywilnych.

Nie będziemy z nimi prowadzili polemiki, wykażemy tylko co jest w kodeksie obowiązującym i jakimi względami powodował się prawodawca przy tych różnic ustanawianiu.

Krótki rzut oka na możliwe następstwa poprawek żądanych w duchu równouprawnienia, a raczej i właściwiej *ujednostajnienia*, doprowadzi do wyciągnięcia wniosków, które pozostawiamy szanownym słuchaczom.

W zasadzie prawo jest jednakie dla wszystkich i różnice prawne dopiero ze stosunku rodzinnego i, co za tem idzie, obyczajowego, wypływają, dla

tęto-to są one tak nieznaczne w stanie panny i wdowy, a występują silniej w stanie mężatki.

Panna używa praw cywilnych równych i jednako- kowych ze wszystkimi obywatelami. Dochodzi do pełnoletności w tym samym co mężczyzna wieku (21 lat), może tak jak mężczyzna testować po skończonym szesnastym roku, może być usamowolnioną przez ojca, lub gdyby ten nie żył, przez matkę po skończonym 15, a przez radę familijną po skończonym 18 roku, zupełnie tak jak mężczyzna. Jest tylko jedna różnica, różnica oddająca pierwszeństwo płci niewieściej, a przez naturę uzasadniona. Kobieta dorasta i dojrzewa wcześniej, i dlatego też wcześniej w związki małżeńskie wstępować może. Prawodawca kanoniczny pozwała jej na to po 12 latach, podczas gdy dla mężczyzny 14 lat minimalnie przepisuje, — pod naszym stopniem szerokości geograficznej kodeks obowiązujący lat 16 dla panny, a 18 dla mężczyzny oznacza.

Dla wielu względów, szczególnie też cywilizacyjnej natury, zbyt wczesne wydawanie panien za mąż w klassach inteligentnych obecnie nie zaleca się,—same studia szkolne i przysposobienie do bardziej może skomplikowanych, niż dawniej, obowiązków rodzinnych, zabierają więcej czasu; mimo tak poważnych racyj, nie słyszeliśmy jednak aby zwolennicy ujednostajnienia praw kobiety, żądali dla niej opóźnienia terminu pozwalającego zawarcia małżeństwa t. j. do zrównania jej pod tym względem z mężczyzną. Bo też wyżej nad oderwane teorie i czasowe wymagalniki stoi natura ze swymi prawami więcej lub mniej dostrzegalnymi, a które ludzki prawodawca poznać, uznać i uwzględnić powinien.

Ale prócz prawa natury, w ścisłym znaczeniu tego pojęcia, istnieje jeszcze natura moralnych stosunków, istota społecznych instytucji, z którą prawo cywilne bezwarunkowo liczyć się musi, z którą musi harmonizować. Taką instytucją jest małżeństwo: to też wytwarza ono znakomitą bez zaprzeczenia różnicę w prawach małżonków, różnicę przeprowadzoną we wszystkich racjonalnych i konsekwentnych prawodawstwach.

Braknie nam czasu na historyczne i terytorjalne zestawienia. Przechodząc wprost do współczesnego i najbliższego nas stanu rzeczy, zaznaczymy, iż przedewszystkiem tak podług kodeksu francuzkiego, jak i podług prawa z 1825 r. które zastąpiło 1 księgę tegoż kodeksu, mężatka do wszelkich czynności cywilnych potrzebuje asystencyi męża. Bez tej asystencyi, lub zastępującego ją upoważnienia, nie może stawać w sądzie, z wyjątkiem gdy jest pociągana w materii karnej. Również bez zezwolenia męża nie może czynić darowizn, ani ich przyjmować, nie może zaciągać zobowiązań co do majątku pod zarządem męża zostającego, a obciążać i alienować dóbr nieruchomych, nawet takich, któreby w myśl umowy przedślubnej, o której niżej mówić będziemy, pod jej własną zostawały administracją. Przepis ten wywołuje niekiedy protestacje będące wprawdzie o wiele częściej wyrazem dyalektyki, aniżeli głębszego przekonania, niekiedy jednak mogące mieć wszelkie pozory słuszności i dlatego odpowiedzieć na nie musimy.

Albo jest małżeństwo, albo go niema.

Jeśli jest, to podług zasadniczych pojęć inaczej wyobrazić go sobie nie potrafimy, jak tylko jako harmonijną spójnię interesów moralnych spójnię niezbędną dla ziszczenia jego celów. Cokolwiek bądź między małżonkami omówione i obradzone zostanie, to nakoniec jako wola i zobowiązanie w stosunku do osób trzecich jednolicie objawić się musi. Nie przeczymy, że stosunki prawne w małżeństwie dają mężowi znakomitą przewagę, ale na jej miejsce, wobec niezbędnej tutaj jedności, nic innego postawić nie możemy. Sprzeciwia się temu prosta matematyka.

Przy kolegialnem decydowaniu równoważność głosów tylko w nieparzystym kolegium miejsce mieć może. Małżeństwo jest przecież *par excellente* parą, więc jeden z jej członków dwa głosy mieć musi, a przysługiwać one winny temu, który normalnie biorąc jest starszy, więcej doświadczony, z praktycznym życiem i jego interesami bardziej obyty. Prawda, że w oddzielnych wypadkach te preliminowane przymioty mogą się zna-

leżać po stronie żony, ale wtedy moralna przewaga kobiety sama przez się o faktycznem zarządzaniu zdecyduje. Nareszcie, i to jest najważniejsza, prawodawca stanowiąc normę na naturze rzeczy opartą, bynajmniej żony na łup męzowskiej samowoli nie oddaje. Owszem, całym szeregiem współrzędnych postanowień emancypuje ją wobec męża ile razy jest to usprawiedliwione. O tych właśnie swych prawach kobieta-mężatka wie dzieć i w razie nieszczęśliwej potrzeby korzystać z nich powinna.

Związek małżeński, jak wiadomo, wytwarza między małżonkami dwie równoległe i częstokroć wzajemnie przenikające się sfery stosunków, mianowicie: osobową i majątkową. Pierwsza z nich bezpośrednio na naturze związku oparta streszcza się w następujących przez kodeks określonych wymagalnicach: wspólność zamieszkania, obowiązek wzajemnej pomocy, obowiązek dostarczania utrzymania żonie i dzieciom, obowiązek męża bronić żonę, i obowiązek żony być uległą woli męża w domowym pożyciu. Dla ziszczenia tych wymagalnic, a przynajmniej dla dopomożenia do ich realizacyi, ustanowiona jest właśnie owa asystencya, o której mówiliśmy wyżej, i pomieszczona w dziale praw osobowo-małżeńskich, a więc takich, które bez szkody dla samej istoty małżeństwa naruszonemi być nie mogą, którym tedy przez umowy uchybiać nie wolno. Tylko sąd po wysłuchaniu przyczyn zwolnić może żonę od asystencyi odmawianej przez męża, tylko sąd, a nie żadna umowa, bo to jest rzecz porządku publicznego regulującego stosunek osobowy.

Inaczej rzecz się przedstawia w sferze stosunków czysto-majątkowych.

Prawo określa je z całą ścisłością, na ten wypadek, jeśli strony inaczej się nie umówiły; ale o ile te stosunki majątkowe w przejawach swoich nie są ściśle związane z moralną podstawą instytucji, wolno jest przyszłym małżonkom urządzić je między sobą w sposób, jaki za najdogodniejszy uzajają. Prawodawca z roztropnym drogoskazem ogólnego interesu zakresła tylko pewne ramy, pozostawiając w ich granicach najzupełniejszą swobodę dla umów przedślubnych. Dlaczego przedślubnych? Bo oto na samym wstępie, u samej podstawy spotyka się ze zjawiskiem niezaprzecalnem, a właśnie interwencji prawa wymagającym. Dozwolić osobom w małżeństwie już zostającym zawierać ze sobą umowy, sporządzać między sobą zasadnicze majątkowe układy, byłoby dowodem niewniknięcia w naturę związku. W tej najściślejszej moralnej spółce prędkiej lub później, zwykle dosyć prędko, jedna z osób czy to stale, czy w pewnych żywszych momentach wspólnej pielgrzymki, poddaje się pod wpływ drugiej tak dalece, że o strzeżeniu swoich osobistych interesów mowy być nie może.

Gdyby więc jedno od drugiej mogła kupować, gdyby jedna drugą ważnie obdarowywać mogła, w wielu, niestety, wypadkach stanęłyby otworem drzwi do wyzysku i brudnej, a rodzinny spokój i porządek rujnującej spekulacyi. To jeden względ a drugi niemniej ważny: stosunek do osób trzecich.

Pomimo wszelkich prawodawczych ostrożności nie można i dziś opędzić się najprzeróżniejszym symulacyom, a gdyby ograniczenia nie istniały, jakieżby to obszerne otworzyło się pole do przepisywania majątku z żony na męża, z męża na żonę i znowu z powrotem—istny taniec, w którym dla wierzyteli nie najweselsze przypadłyby figury.

Solidarność interesów między małżonkami, tak jest silną, iż koniecznie wykluczać musi pojęcie dwóch stron w umowę wchodzić ze sobą mogących. Umowa więc między małżonkami musi być przedślubna, i tu jest sfera praw przyszłej mężatki, a więc w większości wypadków, panny.

Staje ona przed notaryuszem, jeśli jest nieletnią w asystencyi swych rodziców lub opiekunów t. j. osób, których zezwolenie i na małżeństwo jest potrzebne, a gdy jest pełnoletnią może stanąć sama (no, chociaż i wtedy asystencya starszych nie zaszkodzi) i wspólnie ze swym przyszłym zawiera umowę przedślubną. Jaką? Dowolną, chociaż mamy gotowe przez prawodawcę ustalone trzy typy umów przedślubnych, i jeśli umowa nie modyfikuje i nie określa szczegółów, to

dość jest nazwać w niej jeden z tych typów — a sam kodex szczegóły reguluje.

Tu wyrażając się w formie użytej przez kolegę Juliusza Walewskiego, prawodawca zdaje się mówić do przyszłych małżonków: „Pozostawiam wam zupełną wolność urządzenia waszego stosunku małżeńsko-majątkowego; róbcie jak się wam podoba; ja niczego wam nie narzucam, ułożcie się na warunkach jaknajszczegółowszych, zaciągnijcie wzajemne zobowiązania, jakie się wam będą zdawały najlepszymi, byleby one nie były przeciwnie porządkowi publicznemu i dobrem obyczajom.

„Zawrzecie umowę poprzestając na ogólnym oświadczeniu, że się chcecie rządzić wspólnością — dobrze, natenczas ja domniemywam, żeście rozumieли wspólność taką, jaką przewidziałem w art. 226—230“.

To znaczy, że po śmierci jednego ze współmałżonków, drugi przy życiu pozostały staje się właścicielem połowy majątku wspólności podlegającego (t. j. tak wniesionego jak dorobkowego), za życia zaś mąż połowy swoich nieruchomości i kapitałów hipotekowanych do wspólności należących bez zezwolenia żony, a żona swoich takich-że kapitałów bez zezwolenia męża, nawet za upoważnieniem sądu, ani zbywać, ani obciążać nie może.

„Powiecie przeciwnie, że będziecie żyć pod rządem posagowym — widocznie przyjęliście dla siebie mój rząd posagowy, w art. 218—225 opisany“.

To jest: posagowe nieruchomości żony, nawet za zezwoleniem męża nie będą mogły być zbywanymi i obciążanymi, z wyjątkiem tego wypadku, gdyby żona swym dzieciom czynić udział zechciała. (Podobna zasada ograniczająca zbywalność nieruchomości może być rozszerzona i do kapitałów hipotekowanych, które wtedy podnoszone być mogą jedynie za uprzednim przez sąd ocenionem zabezpieczeniem).

„Postanowiliście żyć w rozdziale, przepisy więc art. 213—216 znać odpowiadają waszym widokom“.

Będzie więc żona sama użytkowała ze swego majątku t. j. będzie sama pobierała dochody z obowiązkiem przykładania się do wspólnych ciężarów małżeństwa w stosunku swojej i męża możliwości. Żona może mieć wtedy zastrzeżony dla siebie zarząd swym majątkiem, a gdy ją mąż w tej czynności z jej upoważnienia zastępować będzie, może tak jak każdy pełnomocnik do składania rachunków być zobowiązany, które to jednak zobowiązania nie można się domyślać, musi być ono wyraźne.

„Nie zawarliście nakoniec żadnej umowy, a mieliście do tego zupełną swobodę, wnioskuję ztąd, że wolą waszą było rządzić się w waszych stosunkach majątkowych, normą ustanowioną przezemnie w art. od 192—206“.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYŻKIE.

W Maju 1891 r.

Na przelomie literacko-artystycznym we Francji. — Nowe prądy i publiczność. — Literatura i teatr w kłopotach. — Stara i nowa gra. — W czem leży postęp — Zmienność i niestałość sądów. — P. Zola i jego tryumf w tej chwili. — Nowa jego powieść „Pieniądz“. — Spuścizna po wielkim pisarzu. — Odwiedziny u wdowy po Michelecie. — Jej sposób widzenia i cześć dla zmarłego męża. — Okrucy literackie. — Tom pierwszy spuścizny. — Jeszcze słówko o kwestyi wychowania młodych dziewcząt. — Ernest Legouvé i jego książka *Une élève de seize ans*.

(Dokończenie).

Duchowa spuścizna znakomitych pisarzy, wielkich prawdziwie ludzi — jest najdroższym skar-

bem ludzkości całej. Oto, wśród nawału rozmaitej wartości takich pamiątek, otrzymujemy jeden z najcenniejszych zabytków po Michelecie, historyku, pisarzu nieporównanej inteligencji na polu przeszłego żywota ludzkości. Spuściznę tę drogą otrzymujemy z ręki wdowy po nim.

„Nie są to pamiętniki Micheleta, które przedsiębiore ogłosić — powiada w przedmowie wdowa po wielkim pisarzu — ale kartki z jego żywota, opis podróży odbytej do Rzymu w 1830 r., opis zawarty w ciągu własnoręcznych listów, z których pierwsze pisane były do księżny de Berri, później księżny Parmy, a ostatni do księżniczki orleańskiej. Naturalnie, że te listy nie są w mych rękach, ale treść ich znajduje się w „dzienniku“ tej podróży i w wielkiej liczbie notatek nigdzie nie wydanych, które tak obficie rzucał na papier, w miarę wrażeń, jakie odbierała jego dusza, obdarzona tak wielką czułością, tak świeżą, tak szeroko otwartą na wszystko, co piękne, sprawiedliwe i prawdziwe...“

Ta, którą Michelet nazywał „swoją drugą duszą“, która w ciągu lat dwudziestu trzech była jego towarzyszką, współpracowniczką i która z tak oświeconym szacunkiem i godnością prowadzi dalej ogromne dzieło, przerwane przez śmierć wielkiego człowieka, przyjmuje nas w tym małym saloniku swego mieszkania przy ulicy d'Arras, przez który się przesunęły w ciągu lat tylu wszystkie znakomitości literackie, naukowe, polityczne i artystyczne. Marmurowa biała tablica, zbyt skąpy dar urzędowej wdzięczności, powiadamia przechodnia, że ten dom spokojny i tak mieszczański z pozorów miał zaszczyt przyjmować w siebie ostatnie godziny żywota „Juliusza Micheleta, historyka francuzkiego“. Wśród sprzętów wytwornych i podstarzałych, niepokalanej czystości, wśród półek i półeczek pełnych tysiąca pamiątek, pani Michelet przypomina nam jedną z tych postaci kanoniczek z siedemnastego wieku, z ufryzowanymi siwymi włosami z trochę zimną grzecznością, z bladą, jakby z kości słoniowej, poślizką twarzą, które się spotyka często u starych panien; w szlafroku o wygodnych, szerokich fałdach z fioletowego atlasu, obszytym białą koronką.

„Podzieliłam na tablice — powiada uprzejma gospoia, pokazując zwoje poślizkich papierów — wszystkie notatki, odnoszące się do każdej z osobna dzielnic Wieczystego Grodu, notatki rozrzucone na rozmaitych kartkach „Dziennika“, a których całość stanowi opis tak czysty, tak jasny, tak zupełny, jakiego żadne opowiadanie podróży nie zdoła zastąpić. Przystępując do ogłoszenia tej książki, doznawałam skrupułów, wahań się... Jakkolwiek wielką i religijną uwagę dałam temu dziełu, aby nie a nie nie zmienić w tekście notatek zostawionych przez mego męża, komentarzy, któremi je opatrzył, uwag i porównań, jakich mu nastęrczyły wypadki i rzeczy — musiałam przecież dopełnić tej pracy ugrupowania, spojenia, że się tak wyrażę. Obawiałam się, czy, postępując w ten sposób, nie krzywdzę osobistości autora, czy jego oryginalności w pewnym względzie nie uszczuplam. Podałam też tę pracę starym przyjaciółom, wielkiej erudycji i doświadczonego smaku, znającym doskonale „manierę“ Micheleta, którzyby niechybnie uczuli i poznali wszelką zmianę, jakaby się wkradła do mej pracy, pomimo staranności mej. Otóż, zostałam prędko i zupełnie uspokojoną. Michelet odżył całkowicie w tych pośpiesznych opisach, pełnych ognia i prawdy, odtwarzających życie, że zdaje się, jakbyśmy byli wśród miejsc opisanych i że ja sama, która nigdy nie byłam w Rzymie, znam Rzym ówczesny tak dokładnie, jak gdybym tam spędziła dziesięć lat mej młodości...“

„Tylko co wspominałam o notatkach, które Michelet pisał ciągle. Rzezywiści, Michelet nie był wcale, że użyję tu wyrażenia, które się stało sławnem, człowiekiem historii *wziętej w całości* (*prise en bloc*); uważał, że człowieka sądzić potrzeba według każdego postępku jego życia, biorąc na uwagę okoliczności, które przebywał, potrzeby i powody, które go do działania wiodły. Proszę się rozczytać w „Historii Rewolu-

cui Francuzkiej“. Nie znajdziesz pan tam żadnego sądu absolutnie wyrażonego o ludziach tej straszliwej epoki. I tak, Danton, którego on wysławia terrorystyczną energią, którego pokazuje, jak przemówieniem gwałtownym i szczytnym do łez pobudza przekupki z targu, które wprzód złażał, posługując się ich wyrażeniami grubiańskimi i pełnymi cynizmu — tensam Danton występował u niego jako tchórz ostatni w chwili, kiedy, dopuściwszy do rzezi wrześniowej, nie biorąc w niej żadnego udziału, przyjmuje na siebie odpowiedzialność fałszywie, z obawy Marata i komuny rewolucyjnej. I tak co do innych osobistości, a to z powodu, że geniusz Micheleta jest pełen ludzkości, sprawiedliwości, a szczególnie rozczulenia dla tej uwielbianej Francji, i dla tych wszystkich którzy jej służyli i w obronie jej stawali.“

„Ale wróćmy do podróży do Rzymu — mówiła dalej pani Michelet po chwili milczenia, której nie śmieliśmy przerywać przez szacunek dla miejsca, gdzie żył, myślał i pisał wielki i potężny geniusz. — Pierwszy tom wyjdzie z druku (już wyszedł) przy końcu Kwietnia, ja sama jestem jego wydawcą, stosownie do woli Micheleta, który się brzydził targami, niezbędnymi przy drukowaniu wszelkiej książki.“

„Tom II wyjdzie wkrótce potem. Napisałam przedmowę do tomu pierwszego, która narobi trochę hałasu, bom wylała na te karty całą gorzyc, której me serce jest pełne od lat piętnastu, wszystko, com wycierpiała, jako wdowa i sukcesorka wielkiego imienia i w dodatku jako Francuzka. Nie myśl pan, proszę — dodała z uśmiechem — że się dopraszam dla mego męża jednego z tych posagów, które stawia dziś na rogach każdej prawie ulicy. Nie! Co potomność zrobi w tym względzie, będzie dostateczne i na to się piszę z góry. Zresztą, Michelet sam wznosił sobie pomnik, który przetrwa wszystkie posagi. Historia Francji, jakkolwiek niedokończona, jest najwspanialszym dziełem, jakie dźwignięto na cześć naszej ziemi.“

Gdy przechodził przez salę jadalną, oczy moje zatrzymały się na pięknym sztychu Alberta Dürera, wyobrażającym „Melancholię“.

„Co za wspaniałe karty napisał Michelet z powodu tej rycinyl — powiedziałem, zachwycony wspomnieniem nad wszystko wymownych słów, jakimi Michelet wyraził swoje wrażenia wobec tego arcydzieła.

„A! czytałeś pan uważnie, jak widzę, Micheleta — powiedziała gospodyni domu, ściskając dłoń moją na pożegnanie. — Ta rycina jest mi droższą, aniżeli wszystko, co się tu znajduje. Jest to pierwsze dzieło sztuki, którem mąż mój przyzdobił swój pokój studencki. Ta „Melancholia“ przyniosła mu szczęście — tak przynajmniej on zawsze myślał i wierzył, a za dowód może posłużyć cudowny opis tej ryciny, jaki nam zostawił, opis, który, gdyby nawet rycina zginęła, wystarczyłby, aby dzieło samo zachować od zapomnienia...“

Literatura i wyższe towarzystwo francuzkie poniosły wielką i bolesną stratę w osobie pani Craven Urodzona La Ferronnays, córka dawniejszego ambasadora i ministra spraw wewnętrznych za czasów Restauracji, była ona żoną jednego z najdostojniejszych członków arystokracji angielskiej. Wskutek strat ciężkich ogromnej fortuny, zmuszona była na polu literackim szukać środków zaradczających biedzie i od pierwszych kroków okazała się również znakomitą autorką, jak była wielką i światową panią: odrazu więc zyskała wziętość i powodzenie, które jej pozostały do zgonu. Dosyć będzie przypomnieć tu tytuły z niektórych jej powieści: „Opowiadanie Siostry“ (*Le récit d'une soeur*), „Słowo Zagadki“ (*Le mot de l'Enigme*), *Anna Severin*, *Fleurange* i t. d. Wszystkie te powieści odznaczały się wyższą dążnością i odczuciem życia, a religijne studia p Craven, ogłoszone w przeglądzie *Le Correspondant*, uwieńczone tak godnie objawieniem łatwo zapominającego Francji prawdziwie bohaterskiego żywota Ojca Damiana wśród trędowatych na wyspach Sandwich, dają miarę wzniosłości jej ducha, talentu pisarskiego i wielkiego serca.

Zmarła pani Craven miała lat ośmdziesiąt dwa. W młodości jaśniała piękną urodą, wysoką dystynkcyjną całości postaci i świeżością żywego, jasnego dowcipu i rozumu i aż do ostatnich dni życia, pomimo ciężkich cierpień i straty głosu, zachowała niezrównany wdzięk, czarującą uprzejmość i świetną oglądę dawniejszego wyższego towarzystwa francuzkiego.

Umarła w Paryżu d. 1-go kwietnia w swym szczupłym mieszkaniu przy ulicy Barbet do Jony (Faubourg de St. Germain), opatrzona prznajświętszemi Sakramentami, otoczona rodziną, przekazując, jak powiadają, wszystkie swe pisma i pamiątki ukochanemu synowcowi, hr. Albertowi de Mun, sławnemu mówcy izby poselskiej. Żałobny obchód odprowadzono w kościele w kościele św. Franciszka Ksawerego, parafialnym.

Można powiedzieć, że z nieboszczką zstąpiła do grobu jedna z najjaśniejszych gwiazd piśmiennictwa francuzkiego naszego czasu, a niemało gwiazd tych świeci dziś na tem niebie burzliwym. Zmarła odznaczała się nietylko wytwornością pióra, ale niezrównaną jasnością i prawością nieposzlakowanej duszy chrześcijańskiej.

Gdy tak oddają cześć zmarłej, która była czytą i szlachetną przedstawicielką tak dziś okrzyczanej przeszłości, zdaje się właściwym powiedzieć kilka o tej ważnej i niewyczerpanej kwestyi „wychowania młodych panien“. Właśnie mam przed sobą nową książkę, która się zajmuje tem subtelnym zagadnieniem. Książkę napisano zarazem dla młodych dziewcząt i dla ich nauczycieli czy nauczycielek: *Une élève de Seize Ans*, przez E. Legouvé.

Spodziewam się, że czytelnicy moi wiedzą dostatecznie, iż autor tej książki zajmował się całe życie kwestyami, tyczącymi się kobiet z wielką ruchliwością światłego umysłu, chociaż w trochę ścieśnionym obrębie. Kobieta, która go obchodzi, o której mówi chętnie, o której pisze, jest to, szczególnie przed zamążpójściem, kobieta z klasy tak zwanej tutaj *de la bourgeoisie*. Trzeba sądzić, że żyjąc w atmosferze uczciwej, spokojnej, regularnej w każdym razie, uczuwał on pewien przestrach usprawiedliwiony do innych warstw społecznych, tak dobrze we względzie kobiety arystokratycznej, z jej śmiałością, straszliwą częstokroć, pochodzącą z nudów, albo przesytu, jakoteż we względzie córki ludu prostego, z całą jej biedą i nędzą.

Legouvé myśli i obraca się w swoim przedmiocie z wielką swobodą, pełną wdzięku, bez żadnego zakłopotania, bez udanej skromności, czasem nawet z wielką śmiałością. Odziedziczył on w spuściźnie szacunek dla kobiety i wypowiada go z przyjemnością i wdzięcznością. Jako zajmujący się wychowaniem młodych dziewcząt, był on uczniem Fenelona.

Na samym wstępie swej książki Legouvé pociesza się, widząc, że i sprawa wychowania kobiet jest wygrana. Szczęśliwy jest, że może powiedzieć, iż dziś otrzymują one nauki poważne i ścisłe, publiczne kursa, kobiety professorki, nawet licea, — ale ta wygrana, tak zupełna, nie zaspakaja go w pełni, trwoży go nawet: „Żądaliśmy, powiada, równości co do wychowania kobiet, ale równości w różnicy niezbędnej. Otóż równość zdobyta, ale różnicy niema dotąd jeszcze“.

Legouvé ma zupełną rację, kiedy powiada, że edukacja naukowa, tak dziś ceniona, nie jest właściwą dla małych dziewcząt. Daje on w swej książce programmat wychowania i programmat nauk, a cały zbiór przykładów wskazuje, jak można, zostawiając na stronie cały ciężki ładunek „dokumentowy“, rozbudzić umysł i ciekawość młodej dziewczyny do literatury, historii i etyki.

Jestto błąd, zarozumiałość i nieszczęście naszych czasów myśleć, iż „mocna“ instrukcja tworzy wyższe niewiasty. Niewiasty wyższe inteligencją i wdziękiem, tworzą się same przez się, albo zapomocą społeczności, do której należą z prawa urodzenia. Dowód w tem, iż dzisiaj, kiedy młode dziewczęta bardzo uczone tworzą już legiony, nie widać, aby życie społeczne było przyjemniejszym, niż dawniej. Myślałbym nawet,

że się stało przeciwnie. Wychowanie współczesne, częstokroć jako rezultat ostateczny, ma to w sobie, iż czyni z młodego dziewczęcia istotę pośrednią i bierną, gardzącą obowiązkami zwyczajnego życia domowego, lecz zapominającą, że bez ich praktyki i zamiłowania, stają się kobietami rzucającymi niepokój w duszę, albo poprostu nieznosnymi i jak lukrecya nudnymi.

W ten-to sposób, krok za krokiem, idziemy powoli przez słabość, lenistwo i ciemność do tych istot hybrydnych, choć nie wybrédnych, do: „panicza i panny z końca wieku“. Rady i przykłady Legouvégo nie będą stracone dla szczęśliwej, niestety, mniejszości, ale się obawiać można, aby nie były stracone dla większości.

Już Arystofanes porównywał wychowanie dawniejsze z nowem, a my dziś wciąż patrzeć musimy na tworzącą się generacją młodych dziewcząt sawantek, które nie zaniedbały wcale niczego się nauczyć, oprócz tego, czego potrzeba, aby być kobietami i zaletami właściwymi kobiecości uszczęśliwiać rodziny, które się z nich rozwijają będą.

Na tem kończę pobieżną wzmiankę o książce; możnaby drugi tom napisać, rozbierając szczegółowo wszystko, co się mieści w tej nowej pracy Legouvégo, bo wszystko tu jest ważne i nauczające, chociaż nie na wszystko z autorem zgodzić się można. Zostawiam więc to na sąd moich czytelników, polecając czytanie i rozmyślanie nad tem, co wyczytać można w tym skromnym, ale ważnym tomiku.

RUCH MUZYCZNY.

Od tak dawna przywykliśmy treść do sprawozdań naszych czerpać li tylko z wirtuozowskich występów koncertowych lub dyletanckich popisów, które słabsze czy silniejsze, zawsze tylko przelotne budzą zajęcie, iż niemal wzruszenie ogarnia, gdy przychodzi zboczyć z powszedniego toru i w kronice muzycznej zaznaczyć nakoniec fakt będący głębszym objawem tutejszego artystycznego życia i dążenia. Tym faktem jest ukazanie się i wykonanie nowego dzieła, które zarówno rozmiarami swemi, jak maestryą twórczą i siłą natchnienia imponuje.

Zygmunt Noskowski, znakomity twórca Symfonii, „Morskiego Oka“, „Świtezianki“, a obok tego wielu innych kompozycji, któremi zaznacza swą działalność w różnorodnych kierunkach, tym razem uderzył znowu w strunę potężną, doniosłą, a zatem najzupełniej odpowiednią swemu duchowemu stanowisku. Ostatnie dzieło Noskowskiego jest to wielka religijna kantata na głosy solowe, chóry i orkiestrę. Textu dostarczył kompozytorowi Psalm 91, „Kto się w opiekę“. Zachowując jako główne tło barwę charakterystyczną znanego motywu, Noskowski rozwinął w pięciu częściach, coraz wspanialej po sobie następujących, tematy własne oryginalne, świetnie wnikaające w ideę poetyczną textu.

Wstęp orkiestralny i następny chór, na dwóch pierwszych strofach osnuty, to jakby wynurzenie wiary rzewne i prostoty pełne. W drugiej części od słów „Stateczność jego tarcz i puklerz mocny“ basowe solo rozbrzmiewa siłą niezachwianego spokoju i energii, akompaniament orkiestralny potężnieje, a chór jednoczy się w bogatą harmonijną podstawę do szerokich solowych okresów. Łagodny liryzm przeważa w trzeciej części i pieśń tenorowa: „Iżes rzekł Panu, tyś nadzieja moja“ zdaje się płynąć po ruchliwej lecz pogodnej i przejrzystej fali akompaniamentu orkiestralnego, w którym świetnie mienia się tyśiączne instrumentalne barwy. Prawdziwą maestryą i bogactwem wiedzy uwydatnia następny solowy kwartet na sopran, alt, tenor i bas. Wsluchując się w trudności kontrapunkcyjne tak kunsztownie, a jednak z taką swobodą przeprowadzo-

ne, pojmuje się dopiero, czem ma być nauka dla umysłu prawdziwego artysty; nie tu bowiem nie rzuca się w oczy pretensjonalną szarżą erudycyi, nie tu nie razi scholastycznym popisem; przeciwnie, zadziwia prostotą i jasnością, wydając się na pozór czemś bardzo łatwym pod względem treści i formy.

W ostatniej części kompozytor w niepospolitych efektach muzycznych uwypuklił całą piękną myśl textu. Część tę rozpoczyna intonacja solowa (bas) i chór, a następnie wspaniałe chorał altowy rozbrzmiewa pierwszemi słowami psalmu „Kto się w opiekę“ o znanym motywie, podczas gdy jednocześnie rozwija się fuga czterogłosowa, podkład której stanowią wyrazy ostatniej strofy: „Głos jego u mnie nie będzie wzgardzony“. Nie sposób oddać wrażenie, jakie sprawia na słuchacza to podniosłe zespolenie muzyki z poezją. Pod wrażeniem tem, nawet najchłodniejszy krytyk zaledwie zdolnym jest ogarnąć i ocenić znakomite strony techniczne kompozycji.

„Psalm“ stanowił całą drugą część koncertu benefisowego, który się odbył w dniu 29 Kwietnia. Część pierwszą wypełniły inne dzieła Noskowskiego, mianowicie: Polonez na orkiestrę, Melodya na solo wiolonczelle, którą pięknie wykonał p. Sarnecki, dwie pieśni: „Nad kołyską“ i „Pocałunek“ w interpretacji panny Maryi Kwiecińskiej, trzy pieśni ze śpiewnika dla dzieci: „Dożynki“, „Jaskółeczka“, „Śnieżycą“ (chór dziecięcy), oraz Krakowiak i Mazurek na fortepian, ślicznie odegrane przez p. Michałowski. W wykonaniu Psalmu chóry i orkiestra trzymały się dobrze, pomimo jednej tylko próby. Na ostatnim koncercie Towarzystwa Muzycznego usłyszeliśmy po raz wtóry Psalm i Poloneza na orkiestrę; następnie zachwyciła nas śpiewem panna M. Kwiecińska, rozwijając subtelną a swobodną koloraturę w aryi z „Cyrulika Sewilskiego“. Była to interpretacja tak szlachetna i artystycznie wykończona, że śmiało przy niepospolitych zasobach jej głosu, możemy wróżyć artystce świetną przyszłość na scenie. W tymże koncercie dała się poznać tutejszej szerszej publiczności panna Marta Jankowska która podobno już zagranicą zjednała sobie uznanie. Odśpiewanie aryi z op. „Wolny strzelec“ Webera i pieśni Denza: „Si tu m'aimais“, wykazało piękny materiał wokalny o skali sopranowej, dobrze wyrównanej, oraz sporo technicznej rutyny; w rytmice tylko zauważyliśmy niedość pewności, przez co frazy muzyczne nabierają konturów rozwiewnych, częstokroć całkiem niewyraźnych. Do dzieła wokalnego p. Cieślowski dorzucił artystyczny klejnocik, bardzo ładnie odśpiewawszy „Lirnika“ Moniuszki, do fortepianu zasiadł p. Michałowski, dźwiękami szopenowskich pień, czarując jak zwykle publiczność i jak zwykle, program swój sklonionym był w dwójnasób powiększyć. Usłyszeliśmy: Andante i Finał z koncertu E minor, Nokturno G mol i Kołysankę. Ostatni tedy w tym sezonie wieczór Towarzystwa Muzycznego pozostawia jedno z najmiłszych artystycznych wspomnień.

Towarzystwo „Lutnia“ również pożegnało swe liczne zawsze audytoryum koncertem, którego wrażenia wystarczyć muszą aż do jesieni. Programat bogaty i doborowy zawierał kilka świeżych numerów bardzo interessujących, a wykonanie zaświadczyło o prawdziwym postępie. Kompozycje głębsze i trudniejsze, jak: „Chór pielgrzymów“ z Tannhäusera, Wagnera, „Poławiacze pereł“ Bizeta, były polem popisu dla śpiewaczki drużyny. Oprócz tego, usłyszeliśmy: „Pieśń Wielkanocną“ Karłowicza, „Kołysankę“ przez L. Kubę, autora czeskiego, „Przy fujarce“ Stau. Niedzielskiego (chór z towarzyszeniem klarнету), „Ninę“ Pergolesego, „Już matka zasnęła“ Moniuszki, „Wiosnę“ Wilhelma, „Chłopskie wesela“ Soderberga i nakoniec „Życie cyganów“ Schumanna, z całym zbytkiem przeróżnych dodanych efektów, jak dzwonki, tamburino, werbel i fortepian na cztery ręce.

Udział w koncercie „Lutni“ przyjęły panny Wanda i Ludmiła Podgórskie, oraz panna Durand. W solowym śpiewie tej ostatniej usłyszeliśmy arję z „Mignon“ Thomasa. „Pieśń wieczorną“ Moniuszki i „Ja kocham cię“ Griega. Panna W. Podgórska, wiolinistka, przy akompaniemen-

cie swej siostry odegrała: „Poloneza“ Wieniawskiego, Fantazyja z „Halki“ przez Vieuxtempa i „Taniec hiszpański“ Sarassatego.

W dalszym ciągu pogawędki naszej wypada nam znów mówić o chorze amatorskim, który dotychczas jednak li tylko w kole stowarzyszonych ukazywał się na estradzie. Poraz pierwszy *fuori le mura* swej korporacji Towarzystwo „Harmonia“ dało koncert, lecz przyznać trzeba, że był to koncert odpowiadający pod każdym względem artystycznym i estetycznym wymaganiom. Chór, złożony z trzydziestu osób, pod dyktando p. Kazimierza Danysza, znakomicie się przedstawił pod względem pełności brzmienia, precyzji i cieniowania. Zwłaszcza Psalm 42 Mendelssohna, z udziałem chóru, kwartetu męskiego i pani Rzebiczek, wykonanym był wybornie i zjednął wszystkim wykonawcom zasłużone, gorące oklaski. Z solowych numerów, których interpretacją podjęło doborowe grono zaproszonych artystów, najwięcej się podobał śpiew pani Rzebiczkowej i niepospolita gra p. Kastnera na harfie.

Scena opery podtrzymuje się jeszcze, dzięki debiutom, które, do szeregu znanych w kółko powtarzanych przedstawień, wnoszą od czasu do czasu, jakoby świeży, zaciekawiający żywioł. Ostatnio, debiutowała w „Fauście“ panna Jankowska, którąśmy już w Towarzystwie Muzycznym poznali. Występ sceniczny uwydatnił bardziej piękne brzmienie głosu, czystość i obszar jego skali, oraz znaczny stopień wyrobienia; dykcji wszelako nie możemy pochwalić: jest ona zbyt monotonna i jałowa; śpiew, mimo prawidłowego cieniowania, jest tak chłodnym, iż ani liryczne, ani dramatyczne struny uczuć nie znajdują w nim dostatecznego oddźwięku. Zatem rola Małgorzaty, owiana poezją, pełna tysiącznych, najsubtelniejszych odcieni wzruszeń, wcale nie nadaje się do charakteru niezłomnego spokoju, w jakim ją panna Jankowska od początku do końca utrzymuje, jakkolwiek, powtarzamy, partya głosowa odpowiada zupełnie wokalnemu zasobom śpiewaczki.

Na tem zakończymy dzisiejsze sprawozdanie z ruchu muzycznego, który zapewne już coraz o cięższej i powolniej będzie się zaznaczał. Wprawdzie mamy jeszcze obiecane różne nowości kuszające, ale czy wobec tak zwanej kanikuly, nie zbraknie w Warszawie statecznych dotąd i wytrwałych melomanów? Raczcie odpowiedzieć *Voi che sapete*, czem jest Warszawa w lecie.

Juljusz Stattler.

Wiadomości z Hygieny i Medycyny Popularnej.

U C H O.

I

Budowa, czynność, choroby ucha, leczenie i zapobieganie.

Mieliśmy sposobność zaznajomić czytelników „Bluszczu“ (N-r 5, 6, 7, 8 i 9 z roku 1889) z budową i cierpieniami oka; wypada obecnie zastanowić się nad organem niemniejszej doniosłości, odgrywającym w życiu bardzo ważną rolę, a jakim bezwątpienia jest ucho t. j. organ słuchu.

Przyjrzymy się przedewszystkiem pokrótce budowie tego prawdziwie cudownego przyrządu akustycznego, dalej jego funkcji, t. j. w jaki sposób otrzymujemy wrażenia słuchowe za jego pośrednictwem i wreszcie cierpieniom, będącym często przyczyną jednego z najstraszniejszych kalectw, jakim jest bez kwestyi głuchota, a także zapobieganiu jej, *resp.* chorobom narządu słuchowego.

Ucho rozdziela się na trzy główne części: na zewnętrzną, średnią i wewnętrzną.

Pierwsza część zwana zewnętrzną jest jedynie dostępną dla badania naszym wzrokiem; składa się ona z konchy usznej, przewodu słuchowego zewnętrznego i z błony bębenkowej. Kształt i wielkość konchy bywają rozmaite, stosownie do indywidualum; zato przewód słuchowy zewnętrzny i błona bębenkowa posiadają mniej więcej u wszystkich ludzi jednakową budowę.

W skład konchy usznej wchodzi chrząstka, mięśnie i skóra przy otworze porośla nieznaczną ilością włosów.

Przewód zewnętrzny jest to kanalik, wysłany delikatną skórą, posiada długości od 20 do 34 milimetrów i rozciąga się od otworu zewnętrznego do błony bębenkowej. Właściwie przewód ten złożony jest z dwóch części: bardziej zewnętrznej (chrzęstnej) i wewnętrznej (kostnej). Skóra przewodu zewnętrznego zawiera znaczną ilość gruczołków, wydzielających t. z. woszczek uszny.

Ucho środkowe stanowią: błona bębenkowa, jama bębenkowa i jej przyległości.

Błona bębenkowa jest to cienka, biaława i elastyczna przegroda, oddzielająca ucho zewnętrzne od środkowego, skierowaną jest ukośnie z góry na dół i z zewnątrz nawewnątrz i nie posiada w prawidłowym stanie żadnego otworu.

Co do jamy bębenkowej to mieści się ona u człowieka w głębi kości skalistej, jest szerszą u góry niż u dołu, ku przodowi komunikuje się z gardzielią za pośrednictwem trąbki Eustachiusza. Ścianę jej zewnętrzną stanowi właśnie błona bębenkowa. We wnętrzu jamy tej znajdują się cztery kostki słuchowe, stanowiące rodzaj łańcuszka, łączącego błonę bębenkową z uchem wewnętrznym. Kostki te nazwane są: młotkiem, kowadłkiem, strzemiączkiem i kostką soczewicową. Ta część ucha wysłana jest błoną śluzową nierzadko delikatną; opatrzona jest w okienka za pośrednictwem których łączy się z uchem wewnętrznym.

Ucho wewnętrzne czyli błędnik (labirynt) znajduje się poza jamą bębenkową i stanowi temsamem najgłębszą i zarazem najważniejszą część przyrządu słuchowego.

Błędnik składa się z trzech części: z przedsionka w którym pomieszczonem jest okienko owalne, ze ślimaka i z tak nazwanych kanałów półkolistych. Cały błędnik wypełniony jest cieczą, w której pływają ostateczne rozgałęzienia nerwu słuchowego, dochodzące tu z mózgu. Znajduje się w nim rodzaj arfy, składającej się ze strun, z których każda wrażliwą jest na pewnego rodzaju dźwięki, a raczej tonu.

Zobaczmy teraz: jakim sposobem za pośrednictwem ucha odbieramy wrażenia słuchowe w mózgu, który jest głównem centrum wszelkiego rodzaju wrażeń.

Fale powietrzne, wywołane drganiem ciała sprężystego, a stanowiące właśnie głos, dochodzą do błony bębenkowej i uderzając o nią wprawiają ją w drganie. Drganie to udziela się przytwierdzonemu do niej młotkowi, ztąd przechodzi na kowadłko, dalej na strzemię i wprawia w właściwy ruch płyn ucha, w którym znajdują się rozgałęzienia nerwu słuchowego. Tu za pomocą wzbudzonych prądów elektrycznych powstaje wrażenie głosu, które po nerwie słuchowym, również za pomocą prądów elektrycznych, przeniesieniem zostaje do mózgu, w którym wytwarza się właściwa świadomość o dźwiękach i tonach.

Widzimy zatem, że ucho jest pewnego rodzaju telefonem, samo nie słyszy, lecz przenosi dźwięki w postaci strumieni elektrycznych do mózgu.

Z powyższego treściwego opisu łatwo już pojąć jak skomplikowanym, delikatnym i prawdziwie cudownym organem jest nasz przyrząd słuchowy i doprawdy dziwić się można, że pomimo to zaburzenia w nim wydzierają się stosunkowo tak rzadko.

W ogólności wszelkiego rodzaju choroby ucha, którym z kolei przyjrzeć się zamierzamy, objawiają się bólem, płynieniem z ucha, szumem i przytępieniem słuchu w najrozmaitszym stopniu, mogącym dochodzić do zupełnej głuchoty.

Objawy te występować mogą w jednym uchu, albo też symetrycznie w obydwóch.

Przyczyny chorób usznych bywają różnorodne. Częstokroć nieznaczne wpływy szkodliwe, takie jak np: przeziębienie, nieczyste utrzymanie ucha, zbytne wysiłki spowodować mogą w pewnej części ucha stan kataralny, pociągający za sobą stopienie słuchu, a następnie głuchotę. Ogólny stan zdrowia oddziaływa w wysokim stopniu i na ucho; dobrze znane jest stopienie słuchu u rekonwalescentów, osób niedokrwistych i bladaczekowych i odwrotnie wielka wrażliwość u hysteryczek. Wreszcie istnieją pewne choroby ogólne, powodujące następczo cierpienie organu słuchu, że wymienimy tu tylko odrę, szkarlatynę, tyfus, skrofulę i choroby serca. Niektóre lekarstwa a przedewszystkiem chinina i salicylan sodu oddziałują w pewnym stopniu na ucho t. j. sprowadzają w niem szum i zaburzenia słuchowe.

Każda z trzech części ucha może podlegać oddzielnie sprawie chorobowej, albo też, co znacznie rzadziej się wydarza, cierpią jednocześnie wszystkie.

W uchu zewnętrznym prócz kataralnego zapalenia, wydarza się często nagromadzenie owego woszczku usznego, który niekiedy zamienia się w twarde i zbite złogi, przeszkadzające dostawianiu się powietrza do błony bębenkowej i drażniące swą obecnością przewód słuchowy zewnętrzny. Cierpienie to niekiedy wielce przykre usuwać się daje przy stosownem leczeniu bardzo łatwo.

Znacznie uporczywszym jest ów katar ucha zewnętrznego manifestujący się cieczeniem z ucha śluzu albo ropy. Przy nim to nierzadko wydarza się przedziurawienie błony bębenkowej, co stanowi cierpienie poważne.

W ogólności przy chorobach ucha zewnętrznego zaburzenia słuchowe bywają nieznaczne, albo nawet żadne, a to z powodu przewodnictwa kości czaszkowych, przez które fale głosowe dochodzą doskonale do ucha wewnętrznego, gdzie, jak widzieliśmy, odbierane są wrażenia słuchowe.

Choroby ucha środkowego, z powodu niełatwej dostępności i sąsiedztwa tak ważnego organu jak mózg, przedstawiają się o wiele niebezpieczniejszemi.

Odróżniają katar ucha środkowego wilgotny i suchy.

Katar wilgotny ucha środkowego powstaje skutkiem kataru nosa i gardzieli, z których przechodzi na trąbkę Eustachiusza, a ztąd ma ucho średnie, gdzie spowodowuje podobne zmiany, jak na błonie śluzowej nosa i gardzieli t. j. zostaje w połączkach zaczerwienioną, obrzękniętą, a następnie wydziela się z niej obficie śluz, który nagromadza się w jamie bębenkowej i przez obrzękniętą trąbkę już na zewnątrz wydstać się z łatwością nie może.

Wówczas to chory doznaje uczucia, jakby ciało obce znajdowało się w uchu, przyczem źle słyszy. Przy tem cierpieniu mamy zawsze prawie do czynienia z objawami ogólnemi, t. j. chory gorączkuje, doznaje zawrotów głowy, miewa wymioty. Zazwyczaj po kilku dniach bardzo nieprzyjemnego cierpienia następuje przedziurawienie błony bębenkowej; nagromadzony w jamie bębenkowej śluz wypływa do ucha zewnętrznego, co choremu sprawia znakomitą ulgę.

Owo przedziurawienie błony bębenkowej jest naturalnem i koniecznem następstwem sprawy chorobowej i przychodzi zawsze prawie do skutku z łatwością, jeżeli tylko poprzednio nie podległa zmianom jak np. zgrubieniu i w tymto ostatnim razie staje się rzeczą niezbędną jej przekłócie sztuczne, w przeciwnym bowiem razie choroba pociągając za sobą może nadzwyczaj nieprzyjemne następstwa, jak np. próchnienie kości czaszkowych lub zapalenie opon mózgowych.

Dlatego też nie należy w tym ostatnim razie ociągać się z pozwoleniem na dokonanie operacji, która sama przez się nie jest bardzo bolesną i nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa, a chory doznaje po niej natychmiastowej ulgi.

Nadmienić tu jeszcze wypada, że otwór zrobiony w błonie bębnekowej, przy pomocy cienkiego lancetu goi się znacznie prędzej i łatwiej, aniżeli wówczas, gdy przedziurawienie przychodzi do skutku.

Wiele bardzo zależy od tego, czy wydzielina jest śluzową czy ropną; w tym ostatnim razie mamy objawy znacznie groźniejsze, i to zarówno miejscowe, jak i ogólne, i pomyślnie ukończenie sprawy znacznie jest trudniejszym.

Rany błony bębnekowej leczą się, podobnie jak i na innych częściach ciała, t. j. tworzą się po zagojeniu blizny, pozostające na całe życie, które jednak nie stoją na przeszkodzie w prawidłowym jej funkcjonowaniu. Zagojenie i wyleczenie się z kataru ucha środkowego odbywa się tem łatwiej i szybciej, im wcześniej przedsięwziąć środki zaradcze.

O katarze suchym ucha środkowego a także o innych cierpieniach jako też o leczeniu i ich zapobieganiu pomówimy w następnej pogawędce.

Dr. Józef Starkman.

Z bieżącej chwili.

— Dwaj kapitaliści francuzcy starają się w Petersburgu o pozwolenie zawiązania towarzystwa ubezpieczeń od strat poniesionych przez kradzież. Ustawa towarzystwa zapewnia poszkodowanym wynagrodzenie strat poniesionych, jeżeli po upływie pewnego, przez ustawę określonego czasu, przedmioty skradzione odszukanemi i właścicielowi zwróconemi nie będą. Kapitał zakładowy towarzystwa oznaczono na 500,000 rs., podzielonych na storublowe udziały.

— Towarzystwo Ogrodnicze odbyło doroczne swe zebranie w gmachu Resursy Kupieckiej, gdzie będąc odtańd odbywać się stałe. Posiedzenie zagał prezes Towarzystwa, dziekan J. Aleksandrowicz. Naradzano się nad obraniem miejsca na plac targu owocowego i kwiatowego. Targ owocowy odbywałby się tam codziennie, kwiatowy raz w tygodniu; przeznaczonym byłby wyłącznie dla właścicieli, lub dzierżawiących ogrody, z wyłączeniem handlarzy, a korzystający z niego ogrodnicy płaciliby po 5 kop. za każdorazowe przybycie na plac z towarem swoim. Towarzystwo naradzało się nad urządzeniem proponowanej mu wystawy kwiatów w Łodzi, zdaniem p. Jankowskiego, wystawa powinna mieć miejsce, choćby nawet ze stratą materialną, bo chodzi tu o wzbudzenie zamiłowania do hodowania kwiatów. Dr. Markiewicz mówił o plantacyjnym gospodarstwie miejskiem w Warszawie, wykazując z żalem, że drzewa w Alejach Ujazdowskich zamierają. Dr. Rogowicz zwrócił uwagę zebrania, że rośliny, przeznaczone do rozlosowania między członków Towarzystwa są bardzo małej wartości i często nieodpowiednie do hodowli pokojowej, jak np. doniczka z truskawkami. Wielu członków protest ten poparło. Zaznaczyć tu trzeba jako rzecz dobrą, że między członkami znajduje się znaczna liczba kobiet.

— Z zapisu ś. p. Zacharkiewicza przyznane zostały nagrody za długoletnią służbę w jednym miejscu lokajom: Kazimierzowi Kucharkiewiczowi za 30 lat uczciwej służby rs. 150, Fran. Ossa-

kowi za lat dziewiętnaście takiejże służby rs. 75, Andrzejowi Szczygielskiemu za lat trzynaście rs. 45.

— Komitet przebudowy kościoła powązkowskiego, oraz ksiądz rektor Kulickowski zawiadamiają publiczność, że w tych miejscach, gdzie stare mury kościoła ulegną rozbirowi, kamienie pamiątkowe, wyjęte starannie, będą wprawione w nową ścianę. Niemniej troskliwie zostaną zebrane szczątki zmarłych, o ile się znajdą, i umieszczone będą pod kościołem, wraz z kamieniami pamiątkowymi, które do nich należą. Odezwa wyraża poczucie się do obowiązku uszanowania drogich rodzinom szczątków i pamiątek. Prezesem komitetu przebudowy kościoła Powązkowskiego jest hr. Roniker.

— Narady nad wzniesieniem budowy i urządzenia Przytułku Noclegowego, odbywają się pod przewodnictwem prezesa Towarzystwa Dobroczynności, ks. Luomirskiego. Budynek stanie na Pradze wprost nowego kościoła i obejmować będzie w części sypialnie, w części sale pracy. Koszta według dokonanych obliczeń przedstawiają 15.000 rs. Kassa Miejska posiada na ten cel 6.000 rs., z ofiar i widowisk wpłynęło 1.000, brakuje zatem 8.000 rs., które złożyć się potrzebują z ofiar dobroczynnych. Instytucja przytułków noclegowych ma ogromne miłosierne znaczenie w każdym wielkiem mieście, gdzie gnieździ się i zawsze gnieździć musi nędza, której należy podać rękę, aby nie osunęła się na ten stopień nieszczęścia, gdzie zaczyna się upadek moralny. Najcięższym jest w takich razach położenie kobiety.

— W ciągu ubiegłego roku spisano w mieście naszym metryk urodzenia dzieci 26.777; umarło mieszkańców właściwego okręgu miasta 11.357, okręgu przedmieściowego 1.049. Ludność miasta wynosiła wedle ostatniego spisu, dokonanego na początku zeszłego roku 455.852 osób.

— Wystawa przyrodniczo-lekarska ma się odbyć w Krakowie podczas zapowiedzianego tam zjazdu lekarzy i przyrodników. Program wystawy obejmuje: pisma przyrodnicze, lekarskie, technologiczne i techniczne w rocznikach i numerach pojedynczych; wydawnictwa książkowe, peryodyczne ilustrowane i nieilustrowane, dzieła traktujące jakkolwiek gałąź z zakresu nauk przyrodniczych i lekarskich, oraz rozprawy z tychże nauk i wszystkich mających z nimi związek, a wyszłych w przeciągu czasu ostatniego dziesięciolecia, to jest włącznie od 1881 r. Komitet wystawy prosi wszystkie pisma peryodyczne o powtórzenie odezwy.

— Doroczne posiedzenie Krakowskiej Akademii Umiejętności odbyło się dnia 30 Maja w wielkiej sali Collegii novi wobec licznie zebranej publiczności i przybyłych kilkunastu członków. Dr. Dunajewski składał w pięknej przemowie życzenia pomyślnego spełnienia urzędu prezesa Akademii Stanisławowi hr. Tarnowskiemu i podniósł następnie zasługi jego zacnego a sędziwego już poprzednika, Dr. Józefa Mayera. Następnie, po odpowiedzi hr. Tarnowskiego i sprawozdaniu z czynności Akademii za rok ubiegły, Dr. Smolka wygłosił odczyt. Nagrody literackie za dzieła swoje otrzymali: Małecki Antoni i Łoziński Władysław, artystyczną Pochwaliski za portrety.

— Dnia 21 Maja odbyło się w Rudkach pod Lwowem pogrzebanie zwłok ś. p. Jana Alexandra hr. Fredry, sprowadzonych do rodzinnego grobu z Poznańskiego, gdzie umarł.

MYŚLI.

— Pod tytułem: *Prawda i Pozory* wyszło w Paryżu dziełko pośmiertne Armanda Hayem z przedmową Dumasa syna. Zawiera ono 740 myśli — zdań o prawdzie i pozorach wśród życia naszego:

Jestto sprawą mądrości, abyśmy nie ulegali wypadkom, przecież wypadki budują dołą, lub niedole naszę.

Budzić zazdrość, nie znaczy to jeszcze używać szczęścia.

Osobistość nasza polega na posiadanej sile odporności ducha w stosunku do otoczenia naszego.

Wszystkie rośliny pną się, tylko w kierunkach różnych, drzewo strzelające prosto w górę, pnę się wwyż. Dążność do zajmowania miejsca w przestrzeni jest prawem natury.

Zbliżać się do celu jestto oddalać się od pożądanego.

Czy nie mniejszym jest własny nasz przyzwyk w enotach naszych, niż udział świata w wadach?

Nie jestem u siebie w domu, kiedy przyjmuję w nim gości.

Uczucie wstępu do istoty swojej jest rzeczą cięższą, niż śmierć.

Aby człowiek mógł być szczęśliwym, potrzeba, aby w nim zostało coś z dziecka.

Wszelka kłótnia i wszelkie zmartwienie, które się kończy na łzach, kończy się dobrze.

Kto się zmęczy bardzo życiem, nie ma już siły nauczania, jak żyć należy.

Nie umieramy, tylko znikamy ze świata.

Autor *Prawdy i Pozorów* zostawił po sobie jeden jeszcze, obszerniejszy już rękopism: *Filozofia obojętności*. Tej nie umiał sobie przyswoić, ponieważ skończył śmiercią samobójczą.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Arkusz 10-ty powieści pod tytułem: **Cicha kobieta**, przez Autorkę powieści pod tytułem: „*Silny duch*“, przekład z niemieckiego.

TREŚĆ: Z krainy złudzeń (wiersz) przez Antoniego Pileckiego. — Garbuska. Powieść, przez Michała Bałuckiego. — Panna, meżatka i wdowa w obec prawa. Odczyt publiczny, przez M. Kamińskiego. — Nowiny Paryzkie (dokończenie). — Ruch muzyczny, przez Juljusza Stattlera. — Wiadomości z higieny i medycyny popularnej. Ucho, przez Dr. Józefa Starkmana. — Z bieżącej chwili. — Myśli.

Dodatek obejmuje: Arkusz 10-ty powieści, pod tytułem: **Cicha kobieta**, przez Autorkę powieści pod tytułem: „*Silny duch*“, przekład z niemieckiego. — Przegląd mód. — 43 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**